

dr hab. prof. nadzw. Mirosław Filipowicz
Katedra Historii i Historiografii Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej
Instytut Historii
Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II

Recenzja rozprawy doktorskiej p. Julity Ewy Komosy pt. „Historia a polityka. Ukraina w rosyjskiej podręcznikowej narracji historycznej: ewolucja idei, celów, instrumentów” napisanej pod kierunkiem prof. Jana Szumskiego, Warszawa 2023, ss. 489. Instytut Historii Nauki im. Ludwika i Aleksandra Birkenmajerów. Polska Akademia Nauk.

Wydawać by się mogło, że trudno o bardziej nudną lekturę niż analiza nudnych samych w sobie podręczników historii. A jednak są kraje i są czasy, gdy analiza taka nie tylko nie nudzi, ale pokazuje, jak realny związek istnieje między treściami podręcznikowymi, a życiem ludzi. I jaką rolę mogą odgrywać władze państwowe w powstawaniu podręcznikowych koncepcji. Tu nie ma niczego przypadkowego. Pani Komosa rozpoczynając pracę nad swą rozprawą nie przypuszczała zapewne, że ukończy ją w warunkach wojny między Rosją i Ukrainą, choć już od lat trwały działania zdefiniowane jako wojna hybrydowa. A przecież i owa wojna-nie-wojna, i obecna wojna regularna są skutkami postępującego forsowania rosyjskiej doktryny, zgodnie z którą Ukraina nie może sobie pozwolić na wybór własnej drogi rozwoju, musi być związana z Rosją. Rosja należy do krajów, w których władze wywierają maksymalny wpływ na programy nauczania historii. Tak bywało wcześniej w ZSRR (Stalin czy Chruszczow – autorka słusznie przypomina (s. 97) o nadzorczej roli tego ostatniego w opracowywaniu koncepcji historii poszczególnych krajów słowiańskich, dziś brzmi to groteskowo, biorąc pod uwagę intelektualne inklinacje Nikity Siergiejewicza, ale wtedy historykom nie było do śmiechu). Przed paru laty, na spotkaniu zespołu polskich i rosyjskich historyków i nauczycieli historii, na informację o osobistym zaangażowaniu prezydenta Władimira Putina w prace nad przygotowaniem jedyne podręcznika historii w tym kraju (po co pluralizm, to by rozmywało treści ideowe!) zażartowałem, że Rosja musi być bardzo

szczęśliwym krajem, skoro jej prezydent ma tyle wolnego czasu by zająć się pracą nad platformą programową nauczania historii. Obecnie minął czas żartów, giną ludzie, zrujnowane są miasta i wsie, szaleństwo zdaje się nie mieć końca, a my mamy w zasięgu ręki dowody na to, jak niebezpieczna jest historia w rękach tyranii, gotowej wyciągnąć z niej ekstremalne wnioski.

Konstrukcja pracy p. Komosa jest bardzo dobrze pomyślana. Dość zwarty rozdział pierwszy nie daje możliwości wartkiej lektury, bo dotyczy sprawy podstawowej – terminologii. Panuje duża dowolność w posługiwaniu się terminami typu polityka historyczna. Autorka postanowiła dać tu podstawowe definicje, tak by uniknąć potencjalnej konfuzji. I o ile można by się zastanawiać nad nieuniknionością państwowej polityki historycznej tak w ogóle, konkretne jej rodzaje, jak polski przypadek narodowej dumy, powodują, że nie raz chciałoby się z tak jednostronną polityką historyczną zerwać. Przypadek rosyjski pokazuje jak dalece może zaprowadzić konkretna polityka historyczna pseudodemokratycznego reżimu, mająca na celu wychowanie w duchu imperialnym nowych pokoleń Rosjan. Cenne jest tu też zwrócenie uwagi na znaczenie takich pojęć jak mit czy stereotyp. Nawet w fachowej historiografii spotykamy wciąż kolokwialne ich użycie, dobrze się więc stało, że Autorka trzeźwo wyjaśnia, czym są te kategorie. Ważna jest tu przede wszystkim konstatacja, że mit nie podlega weryfikacji, nie może być ani prawdziwy, ani fałszywy. Na czymś takim można więc opierać każdy rodzaj państwowej polityki historycznej. Ważne, że Autorka definiuje w tym rozdziale pojęcia kluczowe dla rozumienia współczesnej rosyjskiej polityki, jak np. pojęcia „ruskij” i „rossijskij:”. Zgadza się, że ruskij jest użyteczny w praktyce nacjonalizmu, dodałbym jednak, że ów nacjonalizm steruje ze sfery „rossijskij”.

Rozdział drugi poświęciła p. Komosa „głównym komponentom mitologicznym rosyjskiej narracji historycznej poświęconej Ukrainie, poczynając od Rusi Kijowskiej. To ciekawy fenomen. Właściwie każda synteza dziejów Rosji zawiera rozdział poświęcony Rusi Kijowskiej, do Kijowskich korzeni odwołuje się też większość, jeśli nie wszystkie, zachodnie syntezy dziejów Rosji. Stąd niebywałą konsternację wzbudzał w początku lat dziewięćdziesiątych nestor ukraińskiej historiografii, nacjonalista i więzień polityczny, prof. Jarosław Daszkiewicz, postulując by mówić tu o rosyjskiej uzurpacji, w istocie bowiem chodziło tu o przodka państwowości ukraińskiej. Wtedy tezy Daszkiewicza spotkały się z polemiką ze strony wielu badaczy ukraińskich, zwracających słusznie uwagę, że w „ tej

kołysce było więcej niemowląt”, jak ujął to dowcipnie czołowy obecnie ukraiński mediewista, Oleksij Tołoczko. Warto też pamiętać, że to Polakowi zawdzięcza historiografia najmocniejszą chyba próbę delegitymizacji moskiewskich pretensji do kijowskiej schedy. Myślę rzecz jasna o Henryku Paszkiewiczu i jego wydanej początkowo po angielsku trylogii. O ile mi wiadomo, żaden poważny ukraiński autor mnie posunął się tak daleko, jak Paszkiewicz. Również koncepcja „bratnich narodów” rosyjskiego, ukraińskiego i białoruskiego przyjęła się szerzej poza Rosją, zwłaszcza w Białorusi i bywa używana także przez tych, którzy chcieliby odejść od bliskiego „braterskiego” sojuszu z Rosją. Gdy w grudniu 2018 r. miałem kilka wykładów dla studentów historii w Państwowym Uniwersytecie w Mińsku, jeden ze słuchaczy, w najlepszej wierze, spytał mnie, czy nie uważam, że to raczej Polacy są bratnim narodem Białorusinów, a nie Rosjanie. Trzeba było dokonać szybkiej dekonstrukcji tego pojęcia „bratniości”, które implementowano z Rosji. Nie było to i nie będzie łatwe: owa „bratniość” i „siostrzaność” mają się tam nieźle już od wielu dziesięcioleci, jeszcze od czasów Stalina.

Trochę mnie zaskoczyła niewielka początkowo obecność teorii normańskiej (niemal, bo problem został zasygnalizowany, ale bardzo krótko, przy okazji sensownego i sprawiedliwego przedstawienia miejsca Michaiła Pokrowskiego w tworzeniu się wczesnobolszewickiej wizji dziejów). Na szczęście tekmat wrócił w rozdziale piątym i jedyne, czego mi brak to podania kilku sensownych prac w przypisach, gdzie Autorka cytuje bardzo ogólną syntezę Bazylowa w wariacie uzupełnionym przez P. Wiczorkiewicza. Podobnie, jak w makiecie jedyne podręcznika historii z czasów nam współczesnych znikła całkiem niewola mongolska. Po Moskwie krążył nawet niezły dowcip. Poprawna odpowiedź na pytanie kto zakończył niewlę mongolską Rusi nie brzmi od teraz Iwan III, ale Aleksandr Oganowicz Czubarjan, bo to on kierował pracami tego zespołu przygotowującego ów podręcznik. Bardzo wysoko oceniam końcową część rozdziału II, poświęconą miejscu Ukrainy czy Małorosji w myśleniu historycznym tradycji eurazjatyckiej i w czasach radzieckich. Autorka zręcznie przebrnęła przez mylące niekiedy gry pozorów, pokazując jak marginalizowano autentyczną ukraińską historiografię, nawet politycznie lojalnego w późnych latach Michaiła Hruszewskiego. Pokazała też, że sama idea „zjednoczenia” jest starsza niż Związek Radziecki, pochodząc jeszcze od przedrewolucyjnego P. Kulisza. I tutaj zasygnalizuję inną zaletę pracy, choć występuje ona nie tylko w tym rozdziale: chodzi o sensowne, niekiedy polemiczne, niekiedy zaś aprobatywne wykorzystywanie współczesnej historiografii rosyjskiej. Nie wszyscy rosyjscy historycy, to funkcjonariusze reżimu

putinowskiego. Warto to przypominać, zwłaszcza teraz, gdy idąc za Ukraińcami, a niekiedy wręcz ich wyprzedzając, niektórzy polscy naukowcy skreślają wszystko co rosyjskie, bez żadnego sensu czy umiaru. A przecież ta historiografia daje tak świetne prace jak te autorstwa Marii Leskinen czy Kiriłła Koczegarowa. Ale i w przypadku pozbawianego teraz w Polsce czci i wiary Aleksieja Millera, Autorka znalazła sposób na rzeczową analizę, niekiedy rzeczowe wykorzystanie, a nie na epatowanie potępieniami, jak niestety bywa u autorów bardzo skądinąd poważnych. Trzeba i warto przypominać, że wielu dzielnych ludzi, intelektualnie niezależnych i odważnych, wciąż pisze i publikuje swe teksty w Rosji, choć oczywiście społecznie mają one niewielki rezonans, a wszystko zagłusza tępa propaganda mediów rządowych. Pani Komosa wykazała się tu naprawdę dużą intelektualną dojrzałością i uczciwością.

Bardzo ciekawie wygląda rozdział III pracy, poświęcony przemianom polityki historycznej za rządów Putina. Pierwotnie lament po katastrofie jaką był jego oczach i w oczach wielu obywateli Federacji Rosyjskiej, mrozpad Związku Radzieckiego, a także kult bohaterstwa Armii Czerwonej, zostały z czasem uzupełnione o jawny wręcz powrót symboliki przedrewolucyjno-imperialnej. Symbolicznym wymiarem tego może być zastąpienie pierwszego bolszewickiego pomnika, obelisku z Ogródów Aleksandrowskich, przez jego pierwotną wersję, pochodzącą z 1913 roku, upamiętniającą 300-lecie dynastii Romanowych. Ale obrona czci Armii Czerwonej trwała i trwa w najlepsze. Piszący te słowa był przed paru laty świadkiem incydentu na jednej z konferencji organizowanych przez akademika Czubarjana w RAN. Gdy austriacki badacz Stefan Kerner przywołał jako ważny temat umykający pamięci w Rosji kwestię masowych gwałtów popełnianych na Austriaczkach przez „wyzwalającą” Austrię Armię Czerwoną, spotkał się nie ze zrozumieniem. Z sali odpowiedział mu, ku konsternacji wielu cudzoziemców tam obecnych, autentyczny rechot, a potem wstąpienia uczonych białoruskich dopełniły reszty. Trudno było w to uwierzyć, ale poważna urzędowa figura z Białorusi, członek tamtejszej Akademii Nauk, perorował, że z pewnością owe kobiety musiały się o owe gwałty prosić. Odpowiedziały mu rześiste oklaski głównie Rosjan, choć byli to przeważnie nie uczeni, a urzędnicy od historii. Gdziekolwiek w cywilizowanym świecie takie wystąpienie dożywotnio dyskwalifikowałoby osobnika, którego nikt by już nigdy nie zaprosił. Nie w Putinowskiej Rosji. I nie na Białorusi. Tam takie postawy mają się jak najlepiej. Także w trzecim rozdziale pracy mamy celne uwagi poświęcone zblatowaniu instytucji zajmujących się historią z resortami siłowymi. Autorka celnie

wychwyciła rolę Siergieja Naryszkina. Reszty dopełniła aneksja Krymu (niewielu Rosjan protestowało, znów uznanie dla p. Komosy za uchwycenie protestu Andrieja Zubowa) i rozpoczęcie wojny w Donbasie. I znów osobiste wspomnienie, gdy jeden z rosyjskich historyków dobrze znany w Polsce i wcześniej udający raczej liberała niż zwolennika autokracji, zaczął o Krymie mówić językiem propagandy putinowskiej, nie obawiając się ośmieszenia gdy wygłaszał rozkoszne tezy w rodzaju, że Krym zawsze był rosyjski. Zawsze, czyli od chwili, gdy Rosja dokonała też pierwszego rozbioru Polski. Takie postawy stały się niestety coraz częstsze. Autorka oczywiście oszczędziła nam takich porównań, ale jakoś nie mogłem oprzeć się wrażeniu o niepokojącej zbieżności patriotycznego wzmożenia w obecnej Polsce, rozwijaniu polityki historycznej narodowej dumy z tym, co się dzieje w Rosji, a w tym samym kierunku. Nie, nie porównuję obu rządów ani sytuacji nauki historycznej w Polsce i jej sytuacji w Rosji. Ale być może nasi szermierzy narodowej dumy powinni zauważyć do czego mogą doprowadzić takie bezkrytyczne harce.

Rozdział IV poświęcony został analizie narracji o Ukrainie w rosyjskim świecie medialnym. Autorka słusznie, jak myślę, konstatuje, że po roku 2014 nie pojawia się w Rosji w kwestiach historii Ukrainy jakaś nowa jakość. Jest to kontynuacja wątków znanych już wcześniej, a nawet sięgnięcie do wątków bardzo starych. Putin jako kontynuator myślenia o narodzie, jakie wcześniej prezentował Piotr Struve: Richard Pipes byłby zapewne zszokowany i zniesmaczony, ale przecież to celna uwaga. Najpiękniejsze idee w rękach autorytarnych indywiduów potrafią się zmienić w całkiem szkaradne. Rewizjonizm historyczny doszedł już tak daleko, że obecnie rezygnuje się już z samego pojęcia Rusi Kijowskiej, zapewne ze względu na Kijów. Sprawa zasygnalizowana przez Autorkę zaskoczyła mnie, choć przecież nie miałem od dłuższego czasu żadnych złudzeń.

Rozdział piąty przynosi analizę wątków ruskich i ukraińskich we współczesnych podręcznikach historii, ale daje dużo więcej. Przykładowo, dla Rusi Kijowskiej cennym uzupełnieniem analizy jest przedstawienie koncepcji czołowego ukraińskiego mediewisty, Ołeksija Tołoczki. Dobrze skonceptualizowany rozdział miejscami zaskakuje informacjami. Okazuje się, że rosyjskie podręczniki potrafią różnić się o poważne miliony, jeśli chodzi o szacunkową liczbę ofiar Wielkiego Głodu laty trzydziestych. Łączy je natomiast wpisanie Ukrainy jako jedynie jednego z ogniw tej tragedii. Trafnie zauważa Autorka tendencję do wydrenowania narracji dotyczącej Ukrainy z jakichkolwiek niewygodnych tematów. To widać

było i gdzie indziej, właśnie dlatego, by nie urazić współczesnych Mongołów, znikło pojęcie niewoli mongolskiej. Trzeba być niezłym akrobatą by takie podręczniki pisać czy redagować.

Jest trochę niezręczności. Czasem mają charakter stylistyczny, np. gdy Autorka z całą powagą obwieszcza, że „Co niezwykle istotne dla niniejszych rozważań, historyk Eugeniusz Ponczek źródło polityki historycznej upatruje w przebiegu procesu dziejowego poszczególnych narodów, z którego wypływają z kolei jej zadania z zakresu procesu *nation i state building*” (s. 33). Z całym szacunkiem dla historyka Eugeniusza Ponczka, powyższą generalną konstatację trudno uznać za wysoce oryginalną, jest to raczej twierdzenie dość oczywiste i powszechnie przyjmowane. Czasem w uzależnieniu od języka angielskiego powstają potworki językowe w rodzaju „westernizacji”. Nie, nie chodzi o deprawację manier i obyczajów na podobieństwo świata westernów, a o zjawisko lepiej po polsku nazwane za łaciną „okcydentalizacją”. Brev recenzenta podniosła się nieco na nieortodoksyjną pisownię „Wehrmachtu”. (s. 87), jednak jest to nie propozycja twórcza, a niezamierzony lapsus. Wreszcie, s. 134, Andreas Kappeler to nie Austriak, a Szwajcar, choć pracujący w najbardziej twórczym okresie życia w Uniwersytecie Wiedeńskim. Zabrako mi w bibliografii błyskotliwie prowokacyjnego artykułu M. von Hagen „Does Ukraine have history?”. Amerykański autor dużo przed obecnymi wydarzeniami diagnozował liczne niebezpieczne punkty kryjące się w ukraińskiej historii.

Kluczem do sprawy jest jednak paradoksalna konstatacja, że Władimirowi poutinowi udało się ostatecznie zantagonizować Ukrainę z Rosją. Aż do przesady. To skutek jego polityki na Ukrainie następuje odejście od czegokolwiek łączącego ten kraj wcześniej z Rosją. Chcąc Ukrainę z Rosją związać, osiągnął coś całkiem odwrotnego. Nikt nie zrobił tyle dla europejskiej i NATOwskiej opcji Ukrainy, co rosyjski prezydent. Przy okazji wylano dziecko z kąpielą, bo przecież naprawdę trudno zaprzeczyć, że Ukrainę i Rosję w historii wiele łączyło i nie zawsze była to wyłącznie relacja ofiary i kata. Skądinąd, oba społeczeństwa łączy też – mimowolnie – stosunek do historii, w której aż nazbyt często przedmiotem dumy bywają rzeczywiste i wymaginowane nieszczęścia i klęski. Ale i Polacy nie są od tego wolni.

Pora na konstatację: rozprawę doktorską p. Komosa przeczytałem z wielką uwagą i zainteresowaniem. Autorka w wielu miejscach dała więcej niż oczekiwano by od doktoratu. Niejeden raz zaskoczyła dojrzałością analizy i erudycją. Z przyjemnością stwierdzam, że z naddatkiem spełniła oczekiwania stawiane rozprawom doktorskim i wnosząc o dopuszczenie doktorantki do dalszych etapów przewodu doktorskiego. Postulowałbym, jeśli jest to

praktykowane, nadanie temu doktoratowi wyróżnienia, jak też rozważenie szybkiej publikacji książkowej. Dopóki temat jest gorący, praca taka spotka się z żywym zainteresowaniem w kręgach nie tylko historyków, ale też politologów czy po prostu ludzi zainteresowanych współczesną rosyjską polityką.

Mirosław Filipowicz

Lublin, 20 czerwca 2023 r.